



**JANUSZ  
MAJEWSKI  
EKSHIBI-  
CJONISTA**

OPOWIADANIA NIE TYLKO EROTYCZNE





## E K S H I B I C J O N I S T A

Nieśmiało zapukano do drzwi. Mecenas odchrząknął, poprawił się w fotelu i donośnym, doskonale postawionym głosem powiedział:

– Proszę!

Drzwi otworzyły się jakby ostrożnie i do gabinetu wszedł Petent, drobny, czarniawy, trochę przestraszony. Po paru krokach zatrzymał się przed monumentalnym biurkiem Mecenasa. Duże lustro w drzwiach bibliotecznej szafy odbiło jego przedwcześnie zgarbione bezradne plecy.

– Proszę, niech pan siada. – Mecenas wskazał krzesło przed biurkiem. Petent usiadł na brzeżku, poprawił nerwowo druczane okulary i milczał.

Mecenas zatarł ręce i zaczął mówić:

– Znam sprawę. Panna Lena nie oszczędziła mi żadnego szczegółu. Cóż, sprawa nie przedstawia się wesoło. Nie wiem jeszcze, jak mam pana bronić. Przede wszystkim jednak musimy się umówić, że przede mną nie ma pan tajemnic. Ja muszę znać całą prawdę, jak... spowiednik. Oczywiście nas także obowiązuje tajemnica zawodowa... Zatem na wstępie: czy było tak, jak mówi panna Lena?

Potent zaczerwienił się po uszy i wyszeptał:

– Ależ panie Mecenasie...

– Rozumiem. – Mecenas pochylił głowę z wystudowanym szacunkiem. – Zakładałem a priori, że jest pan człowiekiem honoru.

Podniósł się z fotela, wyprostowując potężną, zwalistą sylwetkę.

– Zanim przedstawi mi pan w szczegółach swoją wersję wydarzeń, pozwoli pan, że na chwilę go opuszczę. Widzi pan – Mecenas uśmiechnął się ironicznie – w moim wieku jedynym potwierdzeniem męskości jest chorować na prostatę. Kobiety, hermafrodyty i trzebieńcy na nią nie cierpią.

– Trzebieńcy?

– No, kastraci.

Sklonił się poważnie i wyszedł odprowadzony załęczonym spojrzeniem Petenta.

Za drzwiami Mecenas przeobraził się nagle: z niezwykłą, jak na jego wagę, lekkością przebiegł na paluszkach po dywanie i zniknął w drzwiach na końcu korytarza. Zamknął je na haczyk i cicho wdrapał się na sedes. Wstrzymując oddech, ostrożnie wyjrzał przez małe okienko pod sufitem. Patrzył przez chwilę zafascynowany, potem cicho zszedł z sedesu, z pewną trudnością oddał mocz i wymknął się z klozetu.

Petent z markotną miną siedział wciąż na brzeżku krzesła, kiedy rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Petent poderwał się zakłopotany, zawahał się, wreszcie wymamrotał:

– Proszę...

Drzwi otworzyły się i do gabinetu pewnym krokiem wszedł Mecenas. Petent otworzył szeroko oczy:

– Ależ panie Mecenasie...

Mecenas uśmiechnął się kącikami ust i ruszył w kierunku swojego fotela. Usiadł.

– Dlaczego pan stoi? Proszę. – Wskazał na krzesło.

– Panie Mecenasie – wyjąkał Petent – dlaczego pan zapukał? Do swojego gabinetu!

– Ach, drogi panie, nie chciałem pana zaskakiwać. Mógłby pan być zakłopotany... – odpowiedział z prostotą Mecenas. – Pozwoli pan, że załatwię jeden telefon i zaraz wrócimy do sprawy...

– Ale, panie Mecenasie, to zapukanie... – upierał się Petent urażonym głosem. – Ja... To mnie... obraża! – dokończył, z wysiłkiem wyrzucając ostatnie słowo.

– Niechże pan nie przesadza. – Mecenas bagatelizująco machnął ręką i zaczął wykręcać numer telefonu.

Potent wzburzony przeszedł się po gabinecie i stanął przy oknie z twarzą ściągniętą cierpieniem.

– Halo! Panna Lena? – powiedział Mecenas słodkim głosem, przyciskając słuchawkę ramieniem, aby uwolnić ręce, które zajęły się skręcaniem papierosa z tureckiego tytoniu w grubej, żółtawej bibułce.

Potent drgnął. Odwrócił głowę i z przerażeniem patrzył na Mecenas, który uśmiechnięty mówił do słuchawki:

– Był u mnie człowiek, którego pani oskarża, a raczej, jak mi się wydaje, pomawia. Tak, droga pani, pomawia. To mi wygląda na pomówienie...

Słuchał chwilę uprzejmie, a potem mówił dalej głosem jasnym, pewnym siebie:

– Domyślam się, że ma pani w zanadrzu niezbity dowód, którym jest fakt, iż pani wie o jego bliźnie po operacji wyrostka. Ale ja łatwo obaliłbym ten dowód przed sądem: po pierwsze, pani, jako córka chirurga, mogła

słyszeć, że był on operowany w szpitalu pani ojca, a po drugie, panno Leno – ton Mecenasa stał się z lekka protekcyjny – ten pan mógł się obnażyć przed panią za pani zgodą, a nawet zachętą, a nie, jak pani mówi – poszukał w pamięci – znieuważa. A więc nie był to, jak pani twierdzi, akt ekshibicyjny, ale całkiem zwyczajnie: akt seksualny. Prawie na pewno nieudany. Dlatego, droga panno Leno, radzę się jeszcze zastanowić. Zawsze można wycofać powództwo. Uprzejmie kłaniam się pani...

Mecenas odłożył słuchawkę, polizał bibułkę i skleił papierosa. Pstryknął srebrną zapalniczką i zaciągnął się ze smakiem. Petent stał pod oknem z twarzą ukrytą w dłoniach, milczał. Mecenas spokojnie czekał, paląc papierosa. Petent westchnął, podszedł do biurka i usiadł ciężko na krześle. Nie podnosząc wzroku, zapytał schrypniętym głosem:

– Skąd pan wie, że mam bliznę na brzuchu?

Mecenas nie odpowiedział. Podniósł się z fotela i podszedł do lustra w drzwiach szafy. Stanął przed nim i przyglądał się swemu odbiciu z papierosem w ustach. Dym tytoniu łzawił mu oko. Petent patrzył na niego z lękiem.

– Kobiety i zwierciadła mają wspólną naturę: stwarzają pokusy – powiedział Mecenas sentencjonalnie, patrząc Petentowi w oczy za pośrednictwem lustra.

Potem odwrócił się i dodał, ogarniając Petenta wzrokiem pełnym otuchy:

– Oczywiście będę pana bronił, jeśli panna Lena nie wystraszyła się na tyle, aby wycofać oskarżenie. Trzeba uczyć moresu te kapryśne pannice!

## MYŚLI MIESZKAŃCA LABIRYNTU

Obudziłem się i zacząłem nasłuchiwać. Od kiedy zszedłem poniżej podstawowego poziomu i pracuję w najgłębszych sztolniach, straciłem poczucie czasu, nie wiem, czy jest noc, czy dzień – nie wpada tu najmniejszy odblask światła z góry – muszę kierować się tylko słuchem. W dzień w przestrzeni najbliższej panuje cisza – jeśli nie zwracać uwagi na tykanie zegara – ale dalej, w tle, słychać szum miasta, klaksony samochodów, łoskot kolejki na wiadukcie. W nocy dalszy plan cichnie, za to wyraźnie słyszę to, co bliskie: ich oddechy, kaszel, marmotania przez sen, niekiedy skrzypienia sprężyn i łoskoty, jej jęki rozkoszy i spazmatyczne okrzyki, kiedy spółkują.

Stosunkowo najłatwiej mi odróżnić wieczór od rana – wtedy rozmawiają, a rozmowy te mają i inną treść, i charakter. Rano mówią coś w pośpiechu, urywanymi zdaniem, wśród krzątania i gwizdania czajnika w kuchni, która jest gdzieś w głębi mieszkania. On krzyczy z daleka, chyba z łazienki, ona często telefonuje. Potem zapada cisza na wiele godzin, czasem przerywana upartym dzwonieniem telefonu, którego nikt nie odbiera, lub niegłośnym pacnięciem gazet i listów o podłogę, kiedy listonosz wrzuci je przez szparę w drzwiach. Szczególnie dobrze rozróżniam ten delikatny, charakterystyczny dźwięk, jaki wydaje mosiężna klapka otworu na listy, gdy

opada na swoje miejsce po przyjęciu poczty. Za każdym razem nieomal widzę dokładnie jej kształt, krój liter napisu „Letters”, błysk polerowanego metalu.

Nie znoszę natomiast piątek, kiedy przychodzi panna Morgan (wiem, że się tak nazywa, bo kiedy odbiera telefony, zawsze mówi tym swoim jadowitym głosem: „Miss Morgan, słucham”), nie cierpię, jak człapie ciężko po mieszkaniu, stuka miotłą, dzwoni naczyniami, szumi obrzydliwym odkurzaczem (zawsze przy tym śpiewa ohydne arie z musicali), a przede wszystkim jak obżera się cały czas, co chwilę otwierając lodówkę, mlaszcząc i wstrętnie bulgocząc. Nie rozumiem, dlaczego oni to tolerują. Może dobrze sprząta.

Jeśli chciałbym kiedykolwiek wydostać się z labiryntu, to głównie po to, aby sprawdzić, na ile tamta rzeczywistość jest podobna do obrazu, jaki sobie o niej wytworzyłem na podstawie wrażeń słuchowych. Wyobrażam sobie, że dla dobra nauki powinienem przedtem złożyć jakiś raport przed niezależną komisją albo opisać moje hipotezy i zamknąć w zalakowanej kopercie, by potem skonfrontować je obiektywnie z istniejącym światem, jeżeli on rzeczywiście istnieje. Czasem, w gorzkich chwilach zwątpienia, wydaje mi się, że jest on tylko moim żalonym urojeniem.

Po całym dniu samotności, po tych nudnych, wlokących się długo godzinach ciszy, zwykle słyszę najpierw stukot jej obcasów na schodach, potem odgłos otwieranych drzwi, szelest podnoszonych z podłogi gazet i listów, szcęk naczyń w kuchni. Wreszcie wraca on, jedzą pewnie kolację, oglądają telewizję, czasem przyjmują gości. Nie lubię tych godzin. Męczy mnie wytężanie słuchu,



aby ułović jakiś daleki odgłos i starać się go zrozumieć, domyślić się, co oznacza. Usiłuję wtedy spać albo intensywnie pracuję, drążąc tunel w jakimś odurzeniu, zapamiętaniu, niemal w szale, którego natura mnie samego zastanawia. Czy jest to chęć zagłuszenia tych dręczących pragnień, marzeń, rojeń i nadziei, które przenikają każdą komórkę mego mózgu, które nie opuszczają mnie nawet w snach?

Z tej zapalczywej pracy lub z głębokiego snu wyrwa mnie zazwyczaj jej głos, tak dźwięczny i nagle bliski, że nie potrafię pohamować zdławionego okrzyku strachu, jaki mimo woli wydobywa się ze mnie. Zamieram wtedy z przerażenia na długą chwilę, chociaż nonsensem jest sądzić, że mój głos mógłby przebić się przez ściany tunelu i dobiec do jej uszu. Przecież nieraz wołałem z całych sił, wyęzając głos do granic przytomności, a nigdy nie dała mi poznać, że mnie słyszy. Doświadczałem za to tylko przykrego efektu wielokrotnego echa, gdy głos mój przebiegał przez niezliczone odgałęzienia labiryntu, odbijał się od stropów i załomów ścian, a potem wracał do mnie zniekształcony, jakby ulepiona z jego odpadków kula, wycelowana prosto w mój obolały mózg.

Po każdym takim ataku obłąkańczych krzyków, gdy wyrzucę z siebie całą gorycz i rozpacz, gdy wykrzyczę w nich moją nienawiść i miłość, leżę długo na dnie szybu wyczerpany, bezwładny; wydaje mi się, że zaraz umrę. Nie wiem, jak długo to trwa, ale pierwszym objawem dochodzenia do siebie jest to, że zaczynam znowu słyszeć, znowu słuchać, łović pilnie każdy dźwięk, każdy odcień intonacji w jej słowach skierowanych do niego, każdy podtekst w treści rozmów, jakie prowadzą wieczorami.

Dawniej skupiałem się bardziej właśnie na treści tych rozmów. Starłem się na tej podstawie skonstruować możliwie pełny obraz ich życia, zrekonstruować ich przeszłość, zrozumieć ich problemy, stworzyć sobie ich portrety. Potem pojąłem, że nigdy nie zrozumieję tego świata, którego strzępy przynoszą co wieczór do sypialni, nawiązując w rozmowach do jakichś niezliczonych wątków, z których utkana jest ich dziwna rzeczywistość.

Skoncentrowałem się więc na śledzeniu ich życia biologicznego i duchowego, ich wzajemnych stosunków uczuciowych i seksualnych, a wszystko po to, aby poznać ją lepiej, żeby przeniknąć jej umysł i duszę, żeby choć w ten sposób zbliżyć się do niej.

Może przemawia przeze mnie zazdrość, ale on wydaje się gruboskórnym prostakiem i trudno mi zrozumieć, jak ona może znosić takiego partnera. On prawie nigdy nie potrafi wyczuć jej wewnętrznego nastroju: kiedy jej ciało drży z pragnienia jego bliskości, on czyta gazetę albo zanudza ją opowieściami z jakiegoś biura (dużo czasu minęło, nim zrozumiałem, co oznacza to słowo).

Za to kiedy ona już śpi albo wcale nie ma ochoty, włazi do jej łóżka, budzi ją, molestuje namolnie i obrzydliwie, aż w końcu osiąga cel. Muszę jednak ze smutkiem przyznać, że ona, mimo początkowych oporów, zawsze mu w końcu ulega, a co gorsza, głośno okazuje zadowolenie. Wstyd mi nie pozwala zapamiętywać tych słów, które wykrzykuje podczas orgazmu, tak są nieprzyzwoite i wyuzdane, a jednak natrętnie mi się przypominają, bo ona do nich uparcie wraca. Zrozumiałem, że jest to jej słownik miłosny, i w tej plugawej pieśni, w tym steku rynsztokowych wyrazów wypowiedzianych w ekstazy zapamię-

taniu, odkrywam swoiste piękno: liryczne i patetyczne zarazem. Może to dzięki temu, przede wszystkim, stała mi się tak bliska i tak jej pragnę?

Wczorajszej nocy on nagle ją obudził.

– Słyszysz, jak drąży?

Obudzona, zapytała nieprzytomnie:

– Kto?

– Nie słyszysz? – powtórzył. – Jak drąży tunel, jak żre? Zamarłem na chwilę bez ruchu.

– O, przyczał się – powiedział.

– Nie rozumiem. O co ci chodzi? Kto? – powtórzyła.

Zamiast jej odpowiedzieć, zaczął zawile:

– Pamiętasz sklepik pod São Paulo, gdzie wypatrzyłaś te tapety? Pytałem sprzedawcy, z czego robią klej, który nam wcisnął razem z tapetami, przez co potem mieliśmy nadwagę bagażu... A swoją drogą, znajdź mi drugich takich idiotów, którzy z wakacji przywożą tapety! Na pamiątkę!

– Słuchaj, kto tu jest idiotą...? – zaczęła, ale nie dał jej mówić.

– On twierdził, że klej jest syntetyczny, rozumiesz? Ale ja od razu podejrzewałem, że roślinny – pachniał kasztanami...

Podniosła się energicznie, aż zaskrzypiały sprężyny łóżka:

– Czy po to mnie budzisz w środku nocy, żeby pleść takie bzdury? Co ci się znowu śniło?

– Posłuchaj. Nic nie mów, słuchaj.

Zamilkli oboje, a ja nie wytrzymałem napięcia tej chwili i poruszyłem się: grudka zaschniętej masy klejowej oderwała się od ściany tunelu i potoczyła w głąb

pochyłej sztolni z hukiem, który brzmiał dla mnie jak odgłos lawiny.

Staralem się opanować nerwy. Powtarzałem dobitnie w myślach, że dla nich musi to być tylko szmer, ledwie słyszalny szelest. Nie myliłem się, tak właśnie to określił. Powiedział:

– Słyszałaś ten szelest? To pod tapetą. Zastanawiam się, czy to jest taki zwyczajny KORNIAK, czy też jakiś specjalny robal tapetowy.

Oburzenie walczyło we mnie z dumą: nazwał mnie „robalem”, ale jednak „specjalnym”.

– Korniak? – zapytała z tym rodzajem naiwnego, dziewczęcego zdumienia, które tak u niej lubię.

– Tak, korniak, moja droga. Gdybyś czasem cierpiała na bezsenność tak jak ja, to byś usłyszała go nie raz. Tak: mamy kornika pod tapetą.

Te słowa raziły mnie jak piorun i spowodowały, że w panicznym odruchu przerażenia rzuciłem się do bezładnej ucieczki.

– O, teraz! Słyszysz, jak szeleści?

Zebrałem wszystkie siły woli i zatrzymałem się. Nie było w końcu powodu do paniki, przecież nie rzucą się nagle jak szaleńcy i nie zaczną z furią zrywać tapet po to, aby mnie wytropić! Nie znaleźliby mnie zresztą nigdy w moim LABIRYNCIE, w tysięcznych odgałęzieniach, w krętych kanałach, w pochyłych sztolniach, w głębokich szybach, w chodnikach bez wyjścia, zdradliwie zapraszających naiwnego wędrowca po to, aby go tam uwięzić na wieki.

Byłem tak pewny swojej przewagi i ich bezradności, że wpełzłem do Komnaty XVI, zwanej Różową, którą

dawno wydrążyłem i przygotowałem z myślą o moim planie.

Jest to obszerna komora, z jednej strony sięgająca aż do tynku, to znaczy przewiercona przez podwójną warstwę starych gazet. Pamiętam jeszcze kilka tajemniczych słów, przeczytanych wtedy, kiedy nad nią pracowałem, na tym skrawku gazety: „detente’... power... Nikarag...” – długo starałem się dociec ich znaczenia. Z drugiej strony pieczary najpierw usunąłem i wchłonałem cały podkład kleju, a potem jeszcze całą spodnią warstwę tapety. Był to chyba winyl, bo miał smak wstrętny, ale cierpiełem z ochotą, robiłem to dla niej. Dzięki cierpliwości i staranności doprowadziłem do tego, że pozostała tylko cienka powłoka zewnętrzna, niemal sama farba, rodzaj różowej błony, napiętej jak skóra na bębnie. Jeszcze tego samego dnia miałem się dowiedzieć, że tapeta pokryta jest różowym, kwiatowym wzorem na błękitnym tle: ta wstrętna miss Morgan powiedziała o tym jakiejś przyjaciółce przez telefon, naigrywając się z ich gustu. A jaki ma gust ktoś, kto krowim głosem podśpiewuje wciąż arietki z musicalu *South Pacific*?!

To, że pracując nad wykończeniem zewnętrznej ściany, trafiłem na fragment rózu, było przypadkiem, ale z pewnością zaciążyło w znacznej mierze na moim myśleniu o nich czy raczej przede wszystkim o NIEJ.

Owo różowe światło panujące w pieczarze barwiło wszystkie moje doznania, domysły i halucynacje zmysłową, drażniącą luną. Wrażenie to potęgowało się szczególnie w nocy, kiedy zapalali lampę i kochali się przy świetle. Ich zdyszane szept, gardłowe westchnienia, spazmatyczne jęki przenikały błonę tapety, wprawiały ją

w wibrację i bombardowały moją wyobraźnię, trzymając mnie drżącego w tej różowej poświacie całymi kwadransami.

Teraz, gdy wlażłem do Różowej Komnaty, pomyślałem, że być może nadeszła chwila, do której przygotowywałem się od dawna, ale gdy zastanawiałem się, co robić, znowu dobiegł mnie jego głos:

– *Scolytidae*, rodzina chrząszczy. Najpospolitszym szkodnikiem jest *Ips typographus* – kornik drukarz. Są także: *Ips sexdentatus* – sześćczołbny, *Pityokteines curvidens* – krzywozębny, *Hylastinus obscurus* – ciemny...

Poczułem się nieswojo. Po raz pierwszy usłyszałem, że ktoś mnie nazywa, określa, klasyfikuje. Przedtem miałem jakieś pojęcie o tym, kim jestem, ale raczej w kategoriach psychologicznych czy nawet ontologicznych. Miałem po prostu poczucie, że jestem sobą (*ego sum* – skoro tak się upierają przy łacinie), lub raczej – takie poczucie przenikało mnie od zawsze. Teraz, kiedy padły te nazwy, zakręciło mi się w głowie. Ips, IPS, a więc jestem IPSEM! Ips – to dobrze brzmi. To mi od razu przypadło do gustu! Gorzej z tymi przydomkami: *typographus*, *sexdentatus*...

– Skąd ty to wszystko wiesz? – zapytała zdumiona.

– Skąd? – Zaśmiał się. – Wypisałem z encyklopedii. Czekał...

Usłyszałem, że siada na łóżku i naciska kontakt lampy. W mojej pieczarze zrobiło się różowo. W jednej chwili podjąłem decyzję: błyskawicznym kłapnięciem szczęk wygryzłem w błonie małą dziurę i przytknąłem do niej oko.

Nareszcie zobaczyłem to, o czym śniłem tyle lat, co wyobrażałem sobie, ryjąc mozolnie korytarze mego labiryntu, co znałem do najmniejszego szczegółu, ale były

to szczegóły wymyślone, fantastyczne, wysnute z chorych rojeń. O, jakże uboga okazała się moja wyobraźnia! To, co ujrzałem, przeszło wszelkie oczekiwania.

Przede wszystkim nie przypuszczałem, że są tacy ogromni. Wydali mi się gigantami, ożywionymi górami sięgającymi chmur. A przecież ujrzałem ich leżących! Patrzyłem na nich z wysokości może dwóch metrów, z punktu umieszczonego wprost nad ich głowami, które dzięki temu widziałem najlepiej, ale w pozycji odwróconej. Trzeba było dłuższej chwili, bym zrozumiał, że to głowy wieńczą ich odwłok, z którego wyrastają kończyny, a nie na odwrót. Kiedy już pojąłem zasady, jakimi rządzi się w ich świecie perspektywa, dostrzegłem, że on usiadł na łóżku, sięgnął po książkę leżącą obok i wyjął z niej jakąś kartkę. Odczytał:

– Rodzina *Scolytidae* obejmuje około czterech tysięcy gatunków. Niektóre z nich są wysoce zorganizowane, w wygryzionych chodnikach hodują specjalny gatunek grzyba, zwany ambrozją...

Ona poruszyła się na swoim łóżku. Lekka, jedwabna koszula zsunęła się nieco z jej ramienia. W wycięciu dekoltu zamajaczył kształt pięknie sklepionej piersi. Z emocji zaschło mi w gardle. Gdybym musiał teraz krzyknąć, wydałbym tylko ochrypty, zduszony skrzek. Zachłannie wpatrywałem się w nią, z każdą chwilą podobała mi się coraz bardziej. Powiedziała:

– Ty jesteś obłąkany! Budzisz mnie, pleciesz coś, czytasz jakieś brednie... Do czego to zmierza?

– A posłuchaj, co piszą pod hasłem „ambrozja” – zupełnie ignorował jej protesty i spokojnie czytał dalej z kartki: – „Ambrozja, biologicznie, to szczególny typ

współzycia zwierzęcia i rośliny. Grzybnia wyściela przestrzenie drążone przez owada i służy mu za pożywienie, sama zaś karmi się jego odchodami...” itd., itd., ale uważaj: „ambrozja w mitologii greckiej to pokarm bogów, zapewniający im nieśmiertelność, wieczną młodość i piękno”...

Trudno opisać zamęt, w jaki wprawiły mnie te słowa. W parę sekund dowiedziałem się o sobie więcej, niż rozumiałem i dedukowałem z mojego całego dotychczasowego życia! Ale mózg mój szybko ochłonął z gwałtownych wzruszeń; postanowił rejestrować tylko informacje, na później odkładając ich analizę i refleksje. Natomiast moje zmysły, a także i dusza – jeżeli wolno mi wierzyć, że ją mam – chłonęły łąpczywie tak fascynujący dla mnie obraz ich świata.

Nie ukrywam, że głównie patrzyłem na nią, na jej gładkie, różowe ciało, a raczej jego małe skrawki, wyłaniające się z fałd bielizny i pościeli, na jej trochę senne, jakby zwolnione ruchy. Słuchałem jej głosu, ale nie rozumiałem sensu słów, nie chciałem rozumieć, nie interesowała mnie ich treść. Wolałem łowić wibracje poszczególnych dźwięków, wysokich i niskich na przemian, wprawiających w drżenie moje zmysły, oszałamiające jak narkotyk.

Tak więc nie słyszałem, o czym rozmawiali, pamiętam, że śmiała się cicho, a potem wyciągnęła do niego smukłą rękę. On, jakby tknięty różdżką czarodziejską, zamilkł na chwilę, potem przywarł ustami do jej ramienia, z którego zsunęła się koszula. Wtedy jej druga dłoń zanurzyła się w jego gęstych włosach, niemal zniknęła wśród nich, jakby wniknęła w głąb jego czaszki. Przesunął się na jej łóżko i odrzucił kołdrę.



Zabrakło mi tchu: zobaczyłem jej jasny, nagi brzuch z ciemnym trójkątem. Wierzchołek tego trójkąta dotykał miejsca, w którym łączyły się jej długie, smukłe nogi. Z mojego punktu widzenia ten ciemny trójkąt, zwrócony wierzchołkiem ku górze, wydawał się jakąś magiczną kabalistyczną figurą, znakiem, którego znaczenia nie pojmowałem.

Ledwie o tym pomyślałem, zobaczyłem, jak jego mocna owłosiona dłoń pełznie po jej udzie, zbliża się do magicznego trójkąta i dotyka go, jakby przypadkowo, grzbietem palców. Usłyszałem cichy jęk pożądania, wydobywający się z jej rozchylnych ust. Zobaczyłem olśniewający błysk jej białych zębów. Jej paznokcie wbiły się w jego ramię, skóra pod nimi zbieleła, potem podbiegła krwią. Jej kolana jak przęsła zwodzonego mostu uniosły się wolno w górę i zaczęły się rozchyłać. Poczulem gwałtowny przypływ żądz i wściekłości, ale jedyne co mogłem zrobić, to przestać na nich patrzeć. Szybko wypełzłem z Różowej Komnaty i zaszyłem się w najciemniejszy kąt głębokiej, wyeksploatowanej sztolni, w której nie byłem już od miesięcy.

Kiedy uspokoilem trochę rozdygotane nerwy, zwalczywszy pokusę masturbacji pod tłoczące się natrętnie, zapamiętane w każdym szczególe obrazy, które burzyły krew, zacząłem rozpamiętywać to wszystko, co tego dnia się wydarzyło, a zwłaszcza to, czego dowiedziałem się o sobie.

A więc nazywam się IPS i trzeba by odkryć rysunek korytarzy mego labiryntu, aby stwierdzić, czy jestem *typographus*, *sexdentatus* czy *obscurus*. Moje zgryźliwe drugie ja podsunęło mi natychmiast autoironiczną zbitkę:

*sexus obscurus* – tak, niewątpliwie jestem seksmaniakiem, opętany ciemną, ślepią żądzą; ale czy te mało wrażliwe istoty zajmujące się klasyfikacją mego gatunku mogłyby kiedykolwiek wyodrębnić taki wyróżnik i nazywać tak jakiś rząd czy rodzinę moich współbraci? Czy zresztą w ogóle mam jakichś współplemieńców, czy kiedykolwiek spotkam jakiegoś brata, który odczuwa i myśli jak ja, z którym znajdę wspólny język? A może spotkam samicę mego gatunku i ona doceni moją pasję, zrozumie moje powołanie ku pożytkowi gatunku? Nie, nie mam się co łudzić! Moim przeznaczeniem jest samotna wędrówka labiryntem, którego korytarze wciąż wydłużam, mnożę i gmatwam, gubiąc się w nich i odnajdując bez końca.

Zaraz! Co on mówił o jakimś współzyciu z rośliną? Czyżby ten grzyb, który hoduję dla pokarmu, rzeczywiście świadomie współżył ze mną? Czy ten grzyb ma świadomość? Czy on myśli? A może on mnie obserwuje, może obiera jakąś swoją taktykę przetrwania tu ze mną, może planuje wspólną przyszłość? A może on, o bogowie!, jest samicą mego gatunku? Nie, to nonsens! Nie można uwierzyć, że na tak niskim stopniu rozwoju biologicznego istnieje jakaś świadomość! Co innego ja, z pozoru drobina, pył, szary, cichy wędrowiec, mieszkaniac labiryntu. Ja mam prawo czuć się istotą rozumną, nawet jeśli jestem tylko mikroprocesorem w gigantycznym komputerze wszechświata.

Zaraz! Co on mówił o ambrozji? Grzyb żerujący na nawozie czy napój bogów? Nieśmiertelność, wieczna młodość, piękno. Czy ja, zjadacz ambrozji, stanę się kiedyś bogiem? Czy będę nieśmiertelny? Wiecznie młody? Czy jestem piękny? Nigdy nie zastanawiałem się nad swoim

wyglądem; czy mogę się podobać? Kobiety podobno przywiązują wagę do wyglądu, do walorów zewnętrznych, do urody. Ale co jest urodą? Czy w jej świecie chitynowy pancerzyk i kosmate odnóża należą do zjawisk piękna czy brzydoty? *Obscurus* – jeśli jestem nim, to czy mogę być dla niej piękny, czy może właśnie obskurny?

Ledwo o tym pomyślałem, ledwo nadzieja zatliła się w mojej duszy, a już wątpię. Wątpię, więc jestem! Moje zwątpienia, moje zniechęcenia, moje frustracje i rozpacz – czyż nie zaświadczą o mojej świadomości?! *Ips dubitus*, *Ips sapiens* – oto gatunek, który przeoczyliście, panowie entomolodzy! Nie, nie jestem nieśmiertelny, nie stanę się bogiem, spożywając ambrozię, tak jak greccy bogowie nie stali się nieśmiertelni. Spili się tym nektarem i posnęli na zawsze, skamienieli w ruinach świątyń, które im stawiano, zasuszeni między kartami książek historycznych. Nie stanę się bogiem, ale moja dusza pragnie nieśmiertelności, tęskni do prawdziwego Boga i wie, jak ma do Niego dążyć!

Nadejdzie ten dzień, kiedy podejmę decyzję ostateczną, a raczej nadejdzie ta noc, bo uczynię to w nocy. Wyczekam w Różowej Komnacie, aż zaśnie. Przedtem, przy świetle, zapamiętam każdy milimetr drogi, żeby nie zbłądzić, kiedy zgasi światło. A może zaśnie przy świetle? Wtedy w tym różowozłotym świetle ponownie przegryzę błonę tapety i przejdę na drugą stronę.

Marsz w dół powinien mi zabrać tylko kilka minut i tylko część energii, jej większość będzie mi potrzebna później. Dotrę do niej. Wejdę na niezmierzone przestrzenie jej skóry i będę szukał tego miejsca. Początkowo zamierzałem wgryźć się w nią w dowolnym punkcie,

po prostu tam, gdzie wyląduję. Najpewniej na głowie, bo głowa jest najbliżej ściany, po której zejdę. Przez długi czas planowałem, że wejdę jej do ucha i tam przebiję się przez błonę bębenkową – byłaby to w końcu najbliższa droga – ale potem zrozumiałem, że nie powinienem kałeczyć jej ciała. Teraz już wiem, jak dostanę się do środka, mam wielką, jasną pewność, że tak będzie najlepiej. Wniknę do niej przez otwór, jeden z wielu naturalnych otworów jej ciała. Wybrałem ten, w którym mieszka jej demon rozkoszy. Wejdę tam i będę mozolnie posuwał się naprzód, wytrwale pokonywał kaniony i pofałdowania jej intymnych zakątków, a jeśli swym cierpliwym marszem wywołam u niej błogi dreszcz, jeśli usłyszę stłumione westchnienie rozkoszy przez sen, będę piał się w głąb czeluści pijany ze szczęścia i radości, że jej ciało, jej system nerwowy już mnie przyjmuje, już mnie akceptuje.

Dopiero tam, w głębi, gdy dotrę do kresu tunelu, przebiję się przez przeszkodę, przeniknę ścianę wilgotną i napiętą – wejdę do środka. Nie spocznię ani na chwilę, będę pokonywał wzniesienia, przegryzał się przez wszystkie zapory, drążył korytarze w delikatnej tkance jej mięśni. Będę omijał sploty nerwów, aby nigdy nie odczuła bólu, przeprawię się przez przepaście jej płuc, przepłynę rzeki jej krwi, aż wreszcie dotrę tam, do jej mózgu. Dotrę tam, gdzie jest ON, tam, gdzie mieszka Bóg. Gdy stanę przed Jego obliczem, doznam łaski odkupienia i oddam Mu to, co jest Jego. Oddam Mu moje małe życie Ipsa, a dusza moja połączy się z Duchem, KTÓRY JEST NAS WSZYSTKICH...



# JANUSZ MAJEWSKI POKAZUJE KLEJNOTY:

idealnie oszlifowane kamienie szlachetne pamięci  
osadzone w wyobraźni wysokiej próby.

Skrywał je kilkadziesiąt lat. Trzymał w szufladzie  
pomiędzy projektami scenariuszy.

TO NASZYJNIK 22 OPOWIADAŃ  
o ludzkim i erotycznym spełnieniu lub niespełnieniu,  
utkany z zachwycających obrazów  
i rzadko dziś spotykanych słów,  
wysadzany brylancikami dowcipu.

A że Majewski jest jubilerem języka,  
sprzedaje nam je z gracją i wytworną erudycją.  
NAPRAWDĘ TRUDNO NIE KUPIĆ.

JANUSZ MAJEWSKI – wybitny reżyser i pisarz.  
Wydął m.in. *Małą maturę* [2010], *Siedlisko* [2011] i *Zimę w Siedlisku* [2012].

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)

ISBN 978-83-63656-20-1



9 788363 656201

cena 39,90 zł